

A la guerre comme a la guerre.

13 - 15 grudnia 1981 roku Jastrzębie - Zdrój. Pacyfikacja KWK Jastrzębie.

O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałem się od teściowej, rankiem 13 grudnia. Spojrzałem na nią jak na wariatkę; „Co też ona?”. Włączyłem telewizor; śnieżył, no to radio; szumiało. Nastawiłem Wolną Europę; zagłuszana jak zwykle, ale z kakofonii dźwięków udało mi się wyłowić informację o tym, że o północy reżim Jaruzelskiego wprowadził w Polsce stan wojenny. Ta informacja nie potrafiła do mnie dotrzeć. To była jakaś fiksacja. Spojrzałem przez okno, na ulicach było pusto i ponuro. W domu rodzice już wiedzieli. Ojciec, który jeszcze wówczas pracował na kopalni Moszczenica skłinał czerwonych na czym świat stoi. Spojrzeliśmy na siebie i wiedzieliśmy, że będziemy musieli się zmierzyć z tym komunistycznym gównem, i że kto wie jak będzie. W niedzielę, przynajmniej tak na oko, na mieście nic specjalnego się nie działo, tylko kiedy ulicą Mazowiecką przejeżdżała kolumna skotów, to jeden się zepsuł i siłą rzeczy cała kolumna stanęła, a dzieciaki miały uciechę; rzucały w żołnierzy śnieżnymi kulkami, a potem wiały co sił w nogach. Patroli na ulicach jeszcze było mało.

Chociaż 14 grudnia w poniedziałek miałem nocną zmianę, to i tak nie umiałem wysiedzieć w domu. Znikąd nie można było uzyskać żadnych miarodajnych informacji. Ludzie w przestraszu bredzili straszne rzeczy. Nie wytrzymałem i postanowiłem udać się pod kopalnię. Pomyślałem, że może spotkam kogoś kto mi rozjaśni całą sytuację. Na przystanku panował straszny ścisk. Ludzie bali się odsunąć od siebie choćby na kilka kroków. Wokół patrole zomowców. Czasami kontrolowali jakąś osobę podążającą na przystanek dając po chamsku odczuć delikwentowi całą władzę jaką nad nim posiadali. W końcu jakoś dotarłem przed kopalnię. Ludzi było mało, ale ci których spotykałem, byli w strasznie minorowych nastrojach. Od kogoś dowiedziałem się, że w nocy z 12 na 13 grudnia aresztowano przewodniczącego naszego KZ Solidarności Antoniego Jurkiewicza i członka prezydium Henryka Nejmana. Trochę powiało grozą. Poza tym na zakładzie było niespokojnie. Wcześniej umówiłem się z ojcem, który na Moszczenicy miał akurat pierwszą zmianę, że spotkamy się po południu i wymienimy się informacjami, ale kiedy około godziny 16.00 pojawiłem się w domu, to okazało się, że ojciec nie wrócił z pracy. Moszczenica już strajkowała. Tego samego dnia dowiedziałem się, że Manifest Lipcowy też już stoi. Kiedy żegnałem się z bliskimi, przed wyjściem na nocną szychtë, wyglądało to trochę tak, jakbym szedł na wojnę; pełne niepokoju kobiety płakały, a ja zakłopotany kręciłem się jak mucha w smole i nie potrafiłem wymówić ani słowa, w końcu po prostu się ubrałem i wyszedłem.

W autobusie nie było codziennych rozmów ani żartów, ludzie coś szeptali do siebie i czuło się ogromne napięcie. Podchodząc do bramy zauważyłem, że wartownicy mieli już na rękach białe czerwone opaski, a więc zaczęło się. Pomyślałem sobie: raz kozie śmierć i przeszedłem przez bramę. Na cechowni na dwóch stołach jeden na drugim, przed figurą św. Barbary stał włączony telewizor i sączył się z niego ten czerwony jad; no, ale cóż, było to jedyne na źródło bieżącej informacji. Kiedy wszyscy pracownicy trzeciej zmiany zebrali się już na miejscu, wtedy wice – przewodniczący naszej Komisji Zakładowej Jan Dąbrowski oraz Roman Auksztulewicz i Jan Winiarczyk przedstawili nam jak wygląda sytuacja w kraju; poinformowali nas o aresztowaniach i internowaniach. Na cechowni zawrzało jak w ulu. To była taka wtórna fala oburzenia, bo i tak przecież już o tym wiedzieliśmy, ale znowu byliśmy razem i mogliśmy coś postanowić i w jakiś sposób okazać swój sprzeciw. W ogólnym rozgardiaszu zostały wysunięte dwa podstawowe postulaty: zwolnienie internowanych i odwołanie stanu wojennego.

Czy my naprawdę wierzyliśmy w to, że komuniści nam ulegną? Raczej już nie, ale pomimo wszystko i wbrew nadziei postanowiliśmy trwać i czekać na rozwój wypadków. To była bardzo trudna noc. Co jakiś czas następowało poruszenie. To przedstawiciele Komitetu Strajkowego ogłaszali komunikaty, których prawdziwości i tak nikt nie był w stanie sprawdzić. Pozyskanie jakiegokolwiek wiarygodnej informacji nie było łatwe. Wiadomo; zero komunikacji. Część z nas, protestujących została zaangażowana do różnego rodzaju służb, które normalnie uruchamia się, w tego rodzaju wypadkach, ale większość szwendała się bez sensu. Ja również najpierw poszedłem na łaźnię, a potem na swój oddział i oczom własnym nie mogłem uwierzyć; niektórzy poprzebierali się w brudne ciuchy. Padały pytania: „Co wy robicie?”. W odpowiedzi otrzymywaliśmy albo wzruszenie ramion albo odpowiedź: „Ja mam to wszystko w dupie, zjeżdżam”. Patrzyliśmy na potencjalnych łamistrajków z politowaniem i nie ma się co oszukiwać, z pogardą. Wiadomo było, że i tak nie zjadą, ale pomimo to usiedliśmy na ławkach już trochę zbaranieli. Jeszcze nic się nie stało, a już niektórzy trzęśli się ze strachu. Wkurzało mnie to, przecież ja też nie byłem ze stali. Poszedłem na cechownię tam była lepsza atmosfera. Ludzie się wspierali chociaż ten telewizor grał nam na nerwach. Pojawiła się plotka, że w nocy nas spacyfikują. Przyznam szczerze że, aż się włosy na głowie zjeżyły, bo do cholery ilu wśród nas było takich, którzy przeżyli atak regularnych oddziałów milicji czy wojska? W ogóle takich nie było. Potem szybko Komitet Strajkowy zdementował tą informację i napomniął nas abyśmy nie dawali wiary tego typu wiadomościom. Byliśmy zmęczeni i bardzo zestresowani. Ktoś głupio wtrącił, że atakują głównie nad ranem. Pomyślałem „Kurwa, człowieku, skończ”. Około 5.00 poinformowano nas, że przyjadą płatniczki i będzie normalna wypłata. No tak, to już był piątnasty.

Co ciekawego w związku z tą informacją ludzi ogarnął jakiś irracjonalny luz. Że to niby zwyczajne, że jak będą płacić to nie może być mowy o żadnym ataku, że przecież wypłatę trzeba zawieźć do domu i takie tam inne duperele. Kompletnie nierzeczywista rzeczywistość. I w istocie o 6.00 pojawiły się płatniczki pod strażą; jak zazwyczaj. Ludzie ustawili się przy okienkach, panie wypłacały. Pieniążki do portfela, portfel do kieszeni i co? I nic. Ale to było strasznie sztuczne. Tym bardziej, że pod kopalnię zaczęły zjeżdżać czołgi, pojazdy zmechanizowane i „suki” z zomowcami. Nie pamiętam już czy były jakieś wezwania ze strony dowódcy sił milicyjno wojskowych, abyśmy się poddali. Chyba były. Potem wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko.

Nagle nastąpił atak. Miało to miejsce gdzie około 8.00. Na cechowni było ze dwa tysiące ludzi; staliśmy murem. Zaczęliśmy śpiewać „Mazurka Dąbrowskiego”. Wzruszenie ścisnęło mi gardło. Znienacka dał się słyszeć brzęk tłuczonych szyb. Jakiś trzask i łoskot narastający. Uporczywe sapanie. To stąd, to stamtąd jakieś zakrzyknięcia i tupoty. Pomyślałem: Boże, toż to jakiś horror. Cały ten ludzki monolit zachwiał się i załamał. Stoły z telewizorem pchane przez ludzką masę zwały się na figurę św. Barbary. Ludzie biegali we wszystkie strony, a zomowcy bili jak popadnie i kogo popadnie. Panie płatniczki też obryrwały. Pieniądze fruwały po całej cechowni. Niektórzy zomowcy wciskali je sobie za cholewy butów. Z przerażeniem dostrzegłem na podłodze kałuże krwi. Chciałem uciekać przez okno, ale cała cechownia była otoczona. Nie było żadnych szans. Szybko skalkulowałem. Nie, jednak przez drzwi. Niech się dzieje co chce. Obok mnie zomowiec walił pałą po filarze, jakby chciał ten filar obalić. Zbliżałem się do tych drzwi lawirując między już nielicznymi ludźmi i nagle; trach. Oberwałem pierwszy raz. A potem w szpalerze to jeden wielki łomot. Może i nieszkodliwy, ale bardzo upokarzający. Wracaliśmy do domów złamani i przegrani i pełni obaw o swoich z innych zakładów pracy, a ja czułem tylko bezsilną nienawiść do tych czerwonych bandytów, do wszystkich ludzi w mundurach; nienawiść za to, że pozbawili mnie marzenia o wolności.

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Mirosław Sliwa, dodano 07.12.2012 08:21

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.